DZIEKANAT
Wydziału Historycznego UJ
wpłynęło 11.10.2023

Marcin Zaremba

Recenzja rozprawy doktorskiej mgr Soni Knapczyk

Sieroctwo powojenne. Studium na przykładzie województwa krakowskiego (1945-1952), ss. 353.

Promotor dr hab. Marta Kurkowska-Budzan

Paradoksem można by określić sytuację, w której w okresie demograficznej zapaści, spadającej liczby urodzeń, obserwujemy narastającą falę zainteresowań losem dziecka w historii. Na polskim rynku wydawniczym co roku pojawią się nowe publikacje, poszerza się pole badawcze mierzone nowymi tematami, wykorzystaniem nieznanych wcześniej źródeł czy narzędzi badawczych. Pierwszym z brzegu przykładem może być książka Marcina Stasiaka, *Polio w Polsce 1945-1989. Studium z historii niepełnosprawności* (2021), oparta w dużej mierze na wywiadach biograficznych, dzieciom poświęcona w zasadniczej części. Nie gaśnie zainteresowanie II wojną światową i jej konsekwencjami. Tylko w 2022 r. i tylko na polskim rynku ukazały się dwie bardzo ważne publikacje książkowe. Mam tu na myśli *Cenę. W poszukiwaniu żydowskich dzieci po wojnie* Anny Bikont i *Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny* Jakuba Gałęziowskiego, obie bardzo dobrze recenzowane i nagradzane.

Wspomniany na wstępie paradoks jest rzecz jasna pozorny, można go wytłumaczyć na wiele sposobów. Ważne, że praca pani mgr Soni Knapczyk pojawia się na polu względnie dobrze rozpoznanym. Pytanie, czy autorka potrafiła przekazać nam coś nowego, poszerzyć naszą wiedzę, zaskoczyć? Nie mam wątpliwości, że rozprawa ta jest dobrze napisana, wykorzystuje potężny zespół źródeł, porusza zagadnienia ważne.

Konstrukcja pracy. Autorka rozprawy na swój naukowy warsztat wzięła sytuację polskich sierot po II wojnie światowej z różnych perspektyw: emocjonalnej, wychowawczej, instytucjonalnej. Ta polifoniczność powinna zostać doceniona. Choć w tytule czytamy, że jest to *studium na przykładzie województwa krakowskiego*, to jednak pierwsze ponad 180 stron poświęcone zostało stanowi badań (wstęp), kondycji psychofizycznej dzieci i młodzieży po II wojnie światowej (rozdział 2), opiece instytucjonalnej i różnym formom opieki nad sierotami, polityce władz, powojennej fali zainteresowań dziećmi, napływającym ze Związku Radzieckiego modelom wychowawczym (rozdziały 3 i 4). Dopiero rozdziały 5 i 6 koncentrują się na sytuacji opieki nad sierotami w Krakowie i w regionie.

Do niektórych, wymienionych powyżej zagadnień jeszcze wrócę, teraz jednak chciałbym zastanowić się nad konstrukcją całości. Takie rozłożenie omawianego materiału z jednej strony jest logiczne, zgodne z tradycją tego typu rozpraw, z drugiej strony można odnieść wrażenie, że autorka miała problem z syntezą omawianego materiału. Pierwsza cześć subiektywnie dłuży się w lekturze. Poczucie zmęczenia doskwiera zwłaszcza podczas czytania rozdziałów 1 (*Dzieci i młodzież w obliczu wojen światowych*) i 4 (*Sieroty w kręgu wychowania socjalistycznego*). Za dużo miejsca autorka poświęciła sytuacji dzieci w latach 1914-1918, a także dobrze opisanemu w tym obszarze zagadnieniu polityki hitlerowskich Niemiec. Długi cytat z Himmlera na stronie 44 nie posuwa sprawy do przodu. Temat kształtowania nowego człowieka w państwie stalinowskim też ma potężną literaturę. Wystarczyło zrobić odniesienia do niej w przypisach bądź wpleść niektóre wątki później. Historia także polega na wyborze. Nie budzi wątpliwości, że autorka przeprowadziła potężną kwerendę biblioteczną, zabrakło jednak pomysłu, jak jej owoce wykorzystać nie nużąc czytelnika. Historycy mają tendencję do pisania sążnistych prac, wiem coś o tym, powinna nam jednak przyświecać stale zasada: *to the point*.

Kontynuując wątek konstrukcji omawianej pracy, podoba mi się kończenie rozdziałów podsumowaniem, szkoda jednak, że tylko cztery z nich (na sześć) w ten sposób się kończą. Albo trzeba było w ten sposób zamknąć klamrą wszystkie, albo konsekwentnie żadnego.

Ramy czasowe. Przestrzeń czasowa pracy została zakreślona ambitnie, otwiera ją data zakończenia II wojny światowej, zamyka rok 1952. Cezury te nie budzą większych wątpliwości, tylko na zasadzie komentarza warto zwrócić uwagę, że rozbudowa systemu opieki nad sierotami po wojnie nie następowała na ziemi jałowej, istniał on już przed wojną,

także w jej trakcie funkcjonowały sierocińce świeckie i zakonne ratujące dzieci. Także datę 1952 r. należy skomentować. Autorka ma rzecz jasna rację, że jest to rok uchwalenia konstytucji lipcowej, zakończenia działalności pozapaństwowych organizacji opiekujących się dzieckiem, jednak z punktu widzenia większości samych podopiecznych rok 1952 r. nie był żadną cezurą. Tym bardziej, że proces zamykania systemu zaczął się wcześniej.

Nie wiem, czy nie lepszym rozwiązaniem byłaby rezygnacja z części poświęconej „rewolucji odgórnej", sowietyzacji modelu wychowawczego i postawienie daty końcowej powiedzmy na latach 1948-1949. Praca zyskałaby na spójności, stałaby się bardziej kompaktowa, pierwsza część nie dłużyłaby się tak. Korzyść dodatkowa, autorka miałaby więcej czasu na pogłębienie swoich badań. I w ten sposób przechodzimy do wykorzystanych w pracy źródeł.

Źródła. Baza źródłowa budzi podziw szerokością zarzuconej sieci i „złowionych" nią materiałów. Tylko w Archiwum Akt Nowych w Warszawie autorka rozprawy przejrzała 10 zespołów, a do tego trzeba dodać kwerendę w archiwach państwowych w Krakowie (6 zespołów) i Katowicach (4 zespoły), Archiwum Domowe Sióstr Urszulanek oraz archiwa m.in.: IPN, Muzeum KL Auschwitz, Historii mówionej. Z bibliografii oraz przypisów wynika, że przejrzała także wiele tytułów prasowych (niestety zabrakło dat roczników przeczytanych czasopism). Imponuje materiał znaleziony w bibliotekach. Przyznam, że nie myślałem, że tak wiele napisano o dzieciach w okresie powojennym. Do tej konstatacji oraz użytego w pracy aparatu naukowego jeszcze wrócę.

Brakuje jednego - autorka rozprawy nie zdecydowała się na zbieranie ustnych relacji (*oral history*). „Celowo" - jak sama pisze we wstępie - „z uwagi na emocjonalny charakter badań i odpowiedzialność za dobrostan psychiczny potencjalnych rozmówców". Moim zdaniem ten argument się nie broni. Etnografowie, socjolodzy, również historycy (*vide* Jakub Gałęziowski) zbierali relacje na równie trudne, jeśli nie trudniejsze tematy (gwałty). Ponieważ ostatni wychowankowie sierocińców już odchodzą, praca nabrałaby charakteru historii ratowniczej (patrz: E. Domańska, *Historia ratownicza*, „Teksty Drugie", nr 5, 2014). Opis sytuacji w poszczególnych sierocińcach, w dużej mierze oparty na zewnętrznych raportach kontrolnych, zyskałby na spojrzeniu od wewnątrz. Wiem, ludzie nie zawsze chcą opowiadać o bolesnych sprawach z dzieciństwa, nierzadko zmieniają niewygodne dla siebie fakty, niemniej, przypuszczam, wiele moglibyśmy się w ten sposób dowiedzieć. Na przykład nie ma wątpliwości, że kondycja aprowizacyjna po wojnie była zła, wręcz głodowa. I autorka

wiele skarg na ten temat przytoczyła. Nie wiemy jednak, czy niektórzy dyrektorzy placówek nie narzekali z naddatkiem, „po polsku", gdy w rzeczywistości sytuacja mogła być ciut lepsza dzięki paczkom bądź innej, niesystemowej pomocy z zewnątrz.

Niedobór relacji, osobistych opowieści daje się odczuć zwłaszcza w rozdziale 6, w którym czytamy o mikrokosmosie domu dziecka. Mgr Knapczyk pisze z dużą erudycją o emocjonalnym znaczeniu domu, rodziny w procesie socjalizacji. Zabrakło cytatu: „bardzo kochałem naszą kucharkę, przypominała mi babcię". Zabrakło wspomnień i relacji, które potwierdziłby eksperckie obserwacje przywoływane przez autorkę; opowieści dojrzałych już dziś kobiet: „bawiłyśmy się w dom". Z raportów „pokontrolnych", wykorzystanych przez autorkę, przebija raczej smutek i kolor szary. Wspomnienia mogłyby dodać temu obrazowi więcej innych barw.

Nieobecna przemoc. Niedostateczna baza osobistych relacji (autorka wiele publikowanych wspomnień wykorzystała) wpłynęła na nieobecność w recenzowanej pracy tematu przemocy (nie ma na ten temat żadnego podrozdziału). O tym, że dzieci zostały nią „zarażone" w latach 1939-1945 mgr Knapczyk pisze dużo, przywołując powojenne badania psychologów diagnozujących „kompleks wojny". Szkoda, że nie dowiadujemy się o dalszych epizodach tej epidemii. O tym, że przemoc była „na zewnątrz" interesujących nas placówek opiekuńczych, wiemy z raportów milicyjnych. W omawianym okresie rodzi się przecież zjawisko chuligaństwa. Że jeszcze długo po wojnie ciągle była narzędziem wychowawczym stosowanym przez nauczycieli (ciąganie za uszy, stawianie do kąta, krzyk, szarpanie za ubranie, pozbawianie deseru itp.) wiemy z relacji ówczesnych uczniów. Mówią o tym na przykład opublikowane niedawno wspomnienia Jana Lityńskiego. Przemoc na ulicach, w szkole, w rodzinach, rówieśnicza (bójki) była częścią tamtego świata, czymś tak naturalnym jak powietrze. To prawda, że trudno badać to, co przezroczyste i powszechne. Jednak zebrane po latach wywiady mogłyby nam o obecności przemocy w domach dziecka coś powiedzieć. Z pewnością dochodziło również do przemocy seksualnej starszych chłopców nad dziewczętami oraz ze strony wychowawców. Ponieważ była stabuizowana, wewnętrzne raporty i artykuły prasowe praktycznie o niej nie wspominają, tylko z zebranych dziś relacji moglibyśmy spróbować czegokolwiek się o niej dowiedzieć.

Mury milczenia. Niewykluczone, że wywiady biograficzne dostarczyłby także materiał do poznania dalszych losów wychowanków domów dziecka. Autorka słusznie zwraca uwagę na głębokie konsekwencje wojny, socjalizacji w placówkach opiekuńczych. O konsekwencjach

doświadczeń traumatycznych pisał przecież Zygmunt Freud czy później Alice Miller w ważnej książce *Mury milczenia. Cena wyparcia urazów z dzieciństwa* (1991). Co się stało z tymi ludźmi po opuszczeniu przez nich placówek opiekuńczych? Czy potrafili zbudować trwałe relacje, czy przeciwnie – nie odnaleźli się w dorosłym życiu? W jakim stopniu doświadczenie wojennej i powojennej przemocy na nich wpłynęło? A może pozostawili po sobie tylko mury milczenia? Na te i inne pytania ciągle musimy znaleźć odpowiedź.

Liczby i narodowości. Na stronie 35 swojej rozprawy autorka podaje, że 8,5 miliona dzieci przeżyło II wojnę światową i stwierdza, że stanowiło to 35 proc. populacji. Na stronie 109 czytamy natomiast, że zginęło 2,25 miliona dzieci i młodzieży. Nie ma wątpliwości, że obraz demograficzny ówczesnego społeczeństwa polskiego musi zawierać półcienie i nieostre kontury. Niemniej coś jest nie w porządku z podanymi przez autorkę liczbami i procentami. Po pierwsze, nie wiemy o jakiej narodowości dzieciach jest mowa. Przedwojenną Polskę zamieszkiwało wiele mniejszości etnicznych i religijnych, do największych należeli Niemcy, Ukraińcy i Żydzi. Jeśli autorka ma na myśli tylko etnicznych Polaków, to oznaczałoby, że po wojnie w granicach dzisiejszej Polski znalazło się ponad 24 miliony osób. Większość szacunków mówi o 26-27 milionach. Z obliczeń autorki wynika, że zginęło w sumie 6 milionów 400 tysięcy obywateli II RP, co z kolei jest liczbą zawyżoną. Literatura na temat polskich strat osobowych jest niemała (np. C. Łuczak, *Szanse i trudności bilansu demograficznego Polski w latach 1939–1945*, „Dzieje Najnowsze" 1994, nr 2; *Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*, red. W. Materski, T. Szarota, 2009) i należało do niej zajrzeć zamiast podpierać się wątpliwą merytorycznie pracą Richarda C. Lukas'a, autora *The Forgotten Holocaust*.

Mgr Knapczyk słusznie skoncentrowała się w swojej pracy na losie polskich dzieci. Literatura na temat dzieci żydowskich jest niemała, szersze zajęcie się także sierotami niemieckimi i ukraińskim rozsadziłoby projekt. Zabrakło mi jednak pasażu o dzieciach ukraińskich, żydowskich i niemieckich, które trafiły do polskich sierocińców. Autorka podaje dane, że takich dzieci mogło przebywać na terenie województwa około 600. Musiały się mierzyć z problemem odrzucenia, braku akceptacji, samotnością jeszcze większą niż ich polscy rówieśnicy. Z różnych stref okupacyjnych do Polski sprowadzano również polskie dzieci, które w czasie wojny zostały oddane rodzinom niemieckim, gdzie podlegały germanizacji. O dramatach i tragediach dzieci, które w szkole miały ksywkę Szwab, świetnie opowiedział Piotr Pytlakowski (P. Pytlakowski, *Ich matki, nasi ojcowie*. 2020). Przejmujący jest zwłaszcza reportaż o niemieckim chłopcu, który po stracie matki przez długi czas udawał

niemowę. Interesujące byłoby poznać dalsze losy tych dzieci. I to, jak przebiegała ich przymusowa polonizacja.

Kiedy skończyło się przedwojnie? Na stronie 189 recenzowanej rozprawy czytamy, że po 1945 r. dla mieszkańców Krakowa „przedwojenne życie znikło bezpowrotnie". Z pewnymi wahaniami zgodziłbym się z tą opinią, gdy byłaby mowa o warszawiakach czy osiedleńcach z Kresów Wschodnich na tzw. ziemiach odzyskanych. Jednak Kraków był inny, przypominał kapsułę czasu. Długie trwanie przeszłości dawało się odczuć na Uniwersytecie Jagiellońskim, w „Tygodniku Powszechnym", w krakowskich mieszkaniach. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy na początku lat 70. przyjeżdżałem do babci, mieszkającej przy ul. Sobieckiego. Wszystko było stare, przedwojenne: meble, kilimy, zwyczaje. Także język trącił archaizmami. Na peerelowskiej mapie Kraków wyróżniał się, z czego zresztą zdawali sobie sprawę partyjni decydenci. Dlatego byłbym ostrożny przed ferowaniem tak zdecydowanych opinii, że „przedwojenne życie znikło bezpowrotnie". Pamiętajmy też, że przez długie lata w wielu instytucjach, np. w służbie zdrowia i oświacie pracowały osoby urodzone przed I wojną światową, wykształcone w II RP.

Aparat naukowy. Praca napisana została w oparciu o potężną bazę źródłową. Niestety autorka nie zawsze potrafiła się nią pochwalić, miała problem z zastosowaniem przypisów. Nagminnie powtarza w całości całe ścieżki bibliograficzne zamiast użyć „op. cit.". Niektóre tytuły są w ten sposób przypominane kilka razy, co niepotrzebnie wydłuża całość. W jednym miejscu został przywołany cytat i streszczone źródło (str. 72) z „Robotnika" i „Gazety Ludowej", choć w tej ostatniej gazecie prawdopodobnie nie została przeprowadzona kwerenda, w każdym razie w żadnym innym miejscu nie jest cytowana. W takich przypadkach piszemy w przypisie „za:" i podajemy autora oraz tytuł pracy, z której zaczerpnęliśmy cytat bądź informację źródłową.

Sukcesy bez propagandy. Dotychczasowe uwagi krytyczne nie powinny przykryć jednego, tego, jak dużo dowiedziałem się z pracy mgr Knapczyk. Wcześniej bardziej domyślałem się teraz wiem, że po wojnie mieliśmy do czynienia z paniką moralną z klasycznymi jej cechami: niepokojem (o dzieci), wrogością wobec sprawców, powszechną zgodą wobec zagrożenia. Trudno jedynie mówić o charakterystycznym dla paniki przerysowaniu zagrożenia, ponieważ kondycja całego narodu, w tym dzieci, była po wojnie autentycznie zła. Liczba powojennych publikacji poświęcona najmłodszym, do których dotarła autorka doktoratu, pokazuje to olbrzymie zainteresowanie tematem ówczesnych pedagogów, psychologów, społeczeństwa.

Cechą opinii publicznej, gdy przeżywa panikę moralną, jest jej niestabilność, szybko odwraca się od wcześniej bardzo ważnego dla niej zagadnienia. Podobnie było pod koniec lat 40., kiedy przestano pisać o wojennej traumie. Propaganda komunistyczna narzuciła wówczas nową – dziś powiedzielibyśmy – narrację o postępie, konieczności kształtowania nowego człowieka. Koncepcja paniki moralnej jednak tylko częściowo tłumaczy ówczesne szczególne zainteresowanie losem dzieci. Wynikało ono nie tylko z krótkotrwałego moralnego wzburzenia. Już w czasie wojny (sprawa dzieci Zamojszczyzny) rozpoczęła się zmiana kulturowa, polegająca na szczególnej koncentracji na losie najmłodszych. Wiązałbym z nią częściowo także boom demograficzny lat 50., później modę na fotografowanie niemowląt, obdarowywanie zabawkami, przywiązywanie wagi do edukacji, dziecięcy pokój lat 70. Z pracy doktorantki dowiedziałem się o wielości inicjatyw i instytucji zajmujących się pomocą dla dzieci i sierot zaraz po wojnie. Po wojnie nie występowało diagnozowane pod koniec Polski Ludowej zjawisko wyuczonej bezradności. Liczono na pomoc państwa, jednak wiele wspomnianych inicjatyw miało charakter oddolny. Można zaryzykować tezę, że okres tuż powojenny był próbą odbudowy przedwojennego życia, czego jednym z symboli może być Komitet Honorowy patronujący „Tygodniu Dziecka" w grudniu 1945 roku. O badaniach polskich psychologów diagnozujących „kompleks wojny" wiele wiedzieliśmy już wcześniej, autorka „Sieroctwa powojennego" pokazała jednak jak potężny był to nurt. Z pracy dowiadujemy się również o pomocy niesionej dzieciom przez Kościół katolicki jego zakony, zgromadzenia, bractwa, zrzeszenia dobroczynne, „Caritas". Domy dziecka prowadziły m.in. albertynki, boromeuszki, dominikanki, felicjanki, franciszkanki, , urszulanki, niepokalanki. W całym kraju zakony żeńskie prowadziły 380 zakładów opiekuńczo-wychowawczych dla ponad 20 tysięcy wychowanków. Rok 1948 r. zwykle kojarzymy z rozpoczęciem kolektywizacji i stalinizacją Polski. Umyka nam, że centralizacja i uniformizacja instytucji społecznych objęła również niepaństwową opiekę społeczną. W efekcie dokonała się inna zmiana kulturowa: praktycznie zamarły tradycje filantropijne i dobroczynność tak silnie obecne w społeczeństwie polskim od co najmniej XIX wieku. Autorka trafnie opisuje komunistyczne wzorce nowego wychowania, zabrakło mi jednak szerszych odniesień do literatury światowej, chociażby w języku angielskim. Ze zdziwieniem skonstatowałem również brak w bibliografii Mariusza Mazura i jego *O Człowieku tendencyjnym*... (2009). Wykorzystując „wyobraźnię socjologiczną" i ogólną wiedzę o epoce możemy sobie wyobrazić codzienność powojennych domów dziecka, jednak doktorantka potrafiła ją uplastycznić i pokazać. Poznajemy więc jadłospis, podarte spodenki chłopców, warunki sanitarne panujące „dawniej – w pałacu obszarnika, dziś – domu dziecka".

Podsumowując, muszę stwierdzić, iż otrzymaliśmy pracę bardzo dobrą, ciekawą, naświetlającą ważny temat. Autorka wykazała się ambicją i pasją badawczą. Poprzez sytuację sierot pokazała społeczną i kulturową zmianę, traumę wojny, powojenny społeczny zryw pomocy i następnie jej upaństwowienie. Jednocześnie otrzymujemy pracę napisaną dobrą polszczyzną, opartą na wnikliwej kwerendzie. Jestem za dopuszczeniem jej do dalszych etapów przewodu doktorskiego.